

ISSN 1505-8476

# informator



GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

nr 152  
styczeń 2002

W numerze:

- WIEDŹMIN - ciszej nad tą trumną...
- PINOKIO w krainie robotów
- POTTER - oby tak dalej!



## TERMINATOR 3 – CZYLI: FILM NIEMOŻLIWY DO SZEŚCIANU”

Lubię Arnolda Schwarzeneggera. I to nie tylko dlatego, że wspaniale sprawdza się w tzw. kinie akcji. Lubię go za jego talent komiczny, za dystans do kreowanych przez siebie postaci (próbowali naśladować go w tym jego muskularni konkurenci, ale z żalonym efektem), za to wreszcie – że „prywatnie” jest cholernie normalnym człowiekiem. I za to, że (w przeciwieństwie do „napakowanych” dresiarzy) może trafić gdzieś wśród nich takie perełki, jak – wspomniany wcześniej pierwszy *Conan*, komedie *Bliźniacy* i *Gliniarz w przedszkolu*, pastiszowy *Ostatni bohater akcji* (oficjalne tłumaczenie jest „na odwrót”), arcy mistrzowskie *Prawdziwe kłamstwa* („*Commando* lat 90.”), superwidowskowy *Terminator 2...*

Po raz pierwszy zobaczyłem go na okładce „Fantastyki”, jako Conana-barbarzyńcę. Jednak ów pyszny film (że też autorzy *Wiedźmina* nie poszli podobnym tropem!) nie trafił wtedy do polskich kin. Pierwsze moje spotkanie z „żywym” Arnoldem – to był ponury i mroczny *Terminator*. Później – na wideo – przezabawne i autoironiczne *Commando*. A dalej różnie, z różnych mediów. Filmy lepsze lub gorsze, lecz trafiły się wśród nich takie perełki, jak – wspomniany wcześniej pierwszy *Conan*, komedie *Bliźniacy* i *Gliniarz w przedszkolu*, pastiszowy *Ostatni bohater akcji* (oficjalne tłumaczenie jest „na odwrót”), arcy mistrzowskie *Prawdziwe kłamstwa* („*Commando* lat 90.”), superwidowskowy *Terminator 2...*

Jednak tytuł tego wstępniaka wskazuje dobitnie, na czym dzisiaj się skupię!

Pierwszy *Terminator* porażał smutkiem, beznadzieją i klaustrofobicznym klimatem osaczenia. Wrażenie to potęgował czas jego powstania: był to okres największej eksplozji radosnego i optymistycznego kina spod znaku Lucasa-Spielberga-Zemeckisa-Howarda. Film Camerona doskonale oddawał bezbronność dwojga ludzi wobec ścigającej ich perfekcyjnej maszyny do zabijania. Choć jest to niewątpliwie kino akcji – nie polecałbym *Terminatora* komuś, kto chce się tylko odprężyć i zrelaksować! Nawet finał filmu nie napawa optymizmem: mimo pokonania Terminatora – wiemy, że „burza nadchodzi”, że wojna nuklearna wybuchnie, że zwycięstwo jest raczej „pyrrusowe”: to, co najwyżej, wstęp do dalszej – niepewnej – walki. Więcej w tym europejskiego egzystencjalizmu niż hollywoodzkiego *happy endu!* I sam Arnold – jako beznamiętna machina! Jedyną wadą filmu jest bezsensowne nazywanie robota „cyborgiem” (ograniczenia możliwości wędrówki w czasie można było uzasadnić inaczej, np. koniecznością przechodzenia przez „wymiar świadomości”; SF jest pełne takich pseudonaukowych „teorii”).

*Terminator 2: Dzień Sądu Ostatecznego* był jednym z najbardziej oczekiwanych *sequeli* kina fantastycznego. Wieść niesła, że budżetem i trickami zdystansował trylogię *Gwiezdnych wojen* (plus odrzutowa awionetka jako honorarium dla Arnolda!). Mi jednak wydawał się „filmem niemożliwym”. Obejrzałem go u „łamistrajka”, w jednym z gdyńskich kin (kiniarze zbojkotowali ten tytuł, gdyż zbyt pewny kasy dystrybutor zażądał 80% zysków). Doceniłem niewiarygodną widowskowość tego filmu (po raz pierwszy zastosowane w tej skali „płynne” efekty specjalne). Doceniłem nową kreację Schwarzeneggera (o ileż trudniej przekonująco zagrać postać pozytywną!). Czułem się na pewno mniej „klaustrofobicznie” – protagoniści zyskali potężnego i wspaniałego Obrońcę. Ale jednak... Poczulem też żal, że znikł gdzieś przejmujący pesymizm pierwowzoru. Zresztą konstrukcja fabularna zaplątała się w „paradoksie dziadka”: skoro nie mogło dojść do buntu komputerów – to skąd wziął się ów „robot-zbawiciel”? Mój dystans nie zmienia faktu, że to jest też wielkie kino (ale wielkie kino akcji, bez pretensji do głębszych refleksji). Cóż... jak pisałem w „*Dragon Helmie*” – najdroższy film w historii kina nie mógł „dołować” widzów...

*Terminator 2* jest bardziej lubiany przez widzów od *Terminatora*. Nawet ja wyżej ceniąc „jedynekę” – częściej mam nastrój na „dwójkę”. A jaka będzie „trójka”?..

# URODZINY

**Twardych, pomagających w skupieniu,  
krzesł na seansach pierwszych  
części Wielkich Ekranizacji  
- i w ogóle olimpijskiej kondycji  
życzy marcowym Urodzeńcom**

Zarząd GKF  
i redakcja „Informatora”

- 1 Krzysztof Głogowski
- 3 Paweł Cetnerowski
- 5 Maciej Bałasz
- 7 Bogusław Gwozdecki
- 9 Grzegorz Jaworski  
Sławomir Wojtowicz
- 12 Rafał Dintar  
Mateusz Waligórski
- 15 Paweł Tomaszewski
- 14 Arkadiusz Stankiewicz
- 16 Janusz Wiącek
- 21 Rafał Zaborowski
- 23 Mariusz Kręczyński  
Jędrzej Loska
- 25 Wojciech Nieradko
- 29 Maciej Kunysz
- 31 Rafał Nowara



## STYCZNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 20 stycznia 2002 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

### I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Sprawy Działu Wydawniczego – Zarząd przyjął deklarację szefa Działu Wydawniczego dotyczącą sposobu obniżenia kosztów druku informatorów GKF.
2. Sprawa nowych legitymacji – Zarząd przyjął do wiadomości informację dotyczącą programu wymiany starych legitymacji na nowe.

### II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne
  - Tytus Kamil Mikołajczyk zrezygnował z funkcji wiceprezesa GKF;
  - Zarząd GKF mianował nowego wiceprezesa GKF – Marcina Zajdla – przy jednym głosie wstrzymującym się.
2. Nadanie członkostwa specjalnego  
Zarząd GKF jednogłośnie nadał członkostwo specjalne Mieczysławowi Sierocińskiemu – zasłużonemu członkowi KL "Hydrus".
3. Przesunięcia z kandydata na członka zwyczajnego GKF
  - KL "Brethren" – Jacek Buczyński
  - KL "Ordo" – Marcin Markowski
  - KL "Snot" – Łukasz Węglowski, Witold Pawłowski, Joanna Ejsmont, Marek Grajkowski, Dariusz Przewoski, Jarosław Dekowski, Karol Malinowski, Jacek Magadzio, Andrzej Łuczyński, Julian Kopka, Łukasz Perzanowski, Tomasz Pater, Piotr Strzelec, Sławomir Michniewski.
4. Skreślenia z listy członków GKF
  - na własną prośbę – Michał Mochocki (KCZK)
  - za niepłacenie składek – Jakub Fundowicz (KL "Angmar")
5. Przeniesienia  
Grzegorz Smyrgała z KL "Angmar" do KL "Ordo"
6. Urlopy
  - Marcin Stangel (KL "Ordo") - I, II, III kw. 2002
  - Arkadiusz Stankiewicz ("First Generation") - I kw. 2002

### III. SPRAWY FINANSOWE

Prezes GKF omówił składopłatność za IV kw. 2002 i stany subkont poszczególnych KLów.

### IV. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

1. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej omówił postęp prac przy kontroli sekcji obcojęzycznej biblioteki GKF.
2. Komisja wstępnie zatwierdziła termin kontroli finansowej za rok 2001.

### V. IMPREZY

1. Nordcon 2002  
Ustalono termin: 5-8 XII 2002 Zarząd mianował koordynatorem – Piotra Mazurowskiego.
2. Omówiono projekt organizacji imprezy popularyzującej szeroko pojętą fantastykę w szkole podstawowej i gimnazjum w Reczu (woj. zachodniopomorskie).
3. Teleport 2002

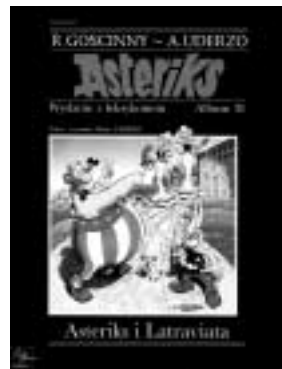
Ustalono termin i miejsce. Koordynatorem została Joanna Ejsmont, Zastępcami koordynatora – Jacek Gdaniec i Piotr Mazurowski.

### VI. WOLNE WNIOSKI

1. Na wniosek rzeczownika GKF Zarząd GKF ufundował nagrodę dla najskuteczniejszego skarbnika KL pod nazwą "Skarbnik Kwartału". Pierwsza edycja nagrody zostanie wręczona na początku II kwartału b.r. za wyniki uzyskane w poprzednim kwartale. Życzymy powodzenia - piwo czeka!
2. Rzecznik prasowy GKF przedstawił wstępny projekt wydania folderu reklamowego GKF.

# Nowości biblioteki GKF w styczniu 2002

- album: Anderson Kevin J. „Ilustrowany wszechświat Gwiezdných Wojen”
- antologia „999: Antologia opowieści niesamowitych”
- Awlinton Richard „Waterdeep”. Fantasy: „Forgotten Realms”. Trylogia Awatarów, księga III
- Card Orson Scott „Cień Hegemona”. SF – kontynuacja „Cienia Endera”
- Cherryh C.J. „Czas ciąży”. SF. Solaris, tom I
- czasopismo „Locus” 482 (III 2001)
- czasopismo „Locus” 483 (IV 2001)
- czasopismo „Locus” 484 (V 2001)
- czasopismo „Locus” 485 (VI 2001)
- czasopismo „Locus” 486 (VII 2001)
- czasopismo „Locus” 487 (VIII 2001)
- czasopismo „Locus” 488 (IX 2001)
- czasopismo „Locus” 489 (X 2001)
- Drake David „Królowa demonów”. Fantasy – kontynuacja „Władcy Wysp”
- fanzin „Widok z Wysokiego Zamku” 13
- Keyes Grey „Ostrze zwycięstwa II: Odrodzenie”. Space opera: Star Wars
- komiks: Andréas „Rork: Fragmenty”
- komiks: Andréas „Rork: Przejścia”
- komiks: Arleston – Tarquin „Lantest z Troy: Thanos pirat”
- komiks: Díaz Canales – Guarnido „Blacksad: Pośród cieni”
- komiks: Dufaux – Marini „Drapieżcy”
- komiks: Kas – Duchâteau „Yans: Tęczowa Plaga”
- komiks: Loisel „Piotruś Pan: Opikanoba”
- komiks: Marini – Smolderen „Cygan: Dzień Cara”
- komiks: Uderzo „Asterix i Latraviata”
- komiks: Wagner – Plunkett, Nadeau „Star Wars: Cienie Imperium”
- Paxon Diana K. „Pani ciemności”. Fantasy – Kroniki Westrii, księga II
- Stackpole Michael A. „X-Wingi: Eskadra łotrów”. Space opera: Star Wars. X-Wingi, tom I
- Stephenson Neal „Zodiak: thriller ekologiczny”
- Weiss Ellen „Shrek”. Adaptacja scenariusza filmowego.



Od lutego pojawią się dodatkowe informacje o wydawcach poszczególnych pozycji. przyg. *misz*

## NIUSY

### ZMARŁA ASTRID LINDGREN

Szwedzka pisarka Astrid Lindgren, autorka popularnych książek dla dzieci i młodzieży, m.in. "Dzieci z Bullerbyn" i "Fizja Pończoszanka" ("Pippi Laangstrump") zmarła w poniedziałek 28 stycznia w wieku 94 lat.

W swoich książkach Lindgren zastąpiła moralizatorstwo humorem, fantazją i celną obserwacją psychologiczno-obyczajową.

Najpopularniejszymi stworzonymi przez nią postaciami były m.in. – obok Pippi Laangstrump – Karlsson z Dachy, Nils Paluszek, detektyw Blomkvist i Lotta z ulicy Awanturników.

Lindgren zadała kłam opinii, że dzieci łąkną wyłącznie sielankowych i niewinnych opowieści. Sama pisarka doszła do wniosku, że dzieciom potrzeba też baśni prawdziwie przerażających, pozwalających im na odnalezienie się w niebajkowej rzeczywistości, na uporanie się z własnymi lękami i obawami. Autorka złamała też kolejne tabu, jakim w literaturze dziecięcej XX wieku był temat śmierci.

W sumie Astrid Lindgren napisała prawie 100 książek dla dzieci, przetłumaczonych na 76 języków i sprzedanych w 80 mln egzemplarzy, licząc wyłącznie wydania oficjalne. Wraz z wydaniem pirackimi liczba sprzedanych egzemplarzy sięga setek milionów. Na podstawie jej książek tworzono sztuki teatralne, musicale. Wiele z nich doczekało się adaptacji filmowych.

W 1992 roku autorka uznała, że czas już na odpoczynek i przestała pisać. Astrid Lindgren jest laureatką wielu nagród, w tym międzynarodowej nagrody im. Andersena (1956). W Polsce uhonorowano ją tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego i Orderem Uśmiechu.



*misz*

### MURNAU U CYBULSKIEGO

DKF „Żak” im. Zb. Cybulskiego zorganizował w dniach 11-13 stycznia przegląd filmów mistrza niemieckiego ekspresjonizmu – Friedricha Wilhelma Murnaua.

Okazją do przypomnienia twórczości wielkiego reżysera stała się stylizowana komedia E. Eliasa Merhige *Cień wampira* – fantazyjna wariacja na temat powstania jednego z najsłynniejszych arcydzieł FWM: horroru *Nosferatu – symfonia grozy*.

*jpp*

### SZEŚĆ KRZYŻYKÓW WIELKIEGO FIZYKA

11 stycznia br. obchodził swe 60. urodziny Stephen Hawking – sparaliżowany geniusz, postać w światowej nauce na miarę Newtona i Einsteina.

Jego największym dokonaniem było odkrycie, że czarne dziury nie są wieczne; szeroką popularność przyniosła mu przystępnie napisana książka *Krótką historią czasu*.

*jpp*

## WYNALAZEK LUCASA

### – CZYLI POŚMIERTNE ŻYCIE KREWETKI

Był sobie w Gdańsku, blisko Dworca Głównego, całkiem zwyczajny, ale nader sympatyczny bar rybny, o nieco egzotycznej nazwie „Krewetka”. Lubili doń zachodzić i miejscowi, i przyjezdni; w tym dobrze nam znany Maciej Parowski. W ramach nowych inwestycji bar zlikwidowano (pamiętam szczerą rozpacz Parówkarza, wyrażoną podczas jednego z filmowych seminariów na UGI!).

Teraz jest tam kompleks nowoczesnych budynków. Mieści się w nim m.in. superkino o, skądinąd znajomej, nazwie... „Krewetka”. A w największej z sal tego superkina zainstalowano – po raz pierwszy w Polsce – aparaturę dźwiękową systemu THX. Tak, ta nazwa też nie jest przypadkowa: system ów został opracowany w Lucasfilm Ltd. na polecenie samego Szefa, a miał on swą światową premierę w 1983 r., podczas pokazu *Powrotu Jedi*.

*jpp*

### „WŁADCA” ZGARNIA NAGRODY

„Władca Pierścieni, część I: Drużyna Pierścienia” doceniony został przez Amerykański Instytut Filmowy, który po raz pierwszy przyznał swoje nagrody. W założeniu nagrody te mają być konkurencją dla Złotych Globów. „Władca...” wygrał w trzech kategoriach: film roku, scenografia (Grant Major) i efekty cyfrowe (Jim Rygiel).

Obraz Petera Jacksona został też uznany za trzeci film roku przez Narodowe Stowarzyszenie Krytyków USA. „Władca...” przegrał tu z „Mulholland Drive” Davida Lyncha i „Godsford Park” Roberta Altmana. O przyznaniu tej nagrody decyduje 52 krytyków; w tym roku uczyniono to po raz 36.

*misz*

### FANTASTYCZNE GRAMMY?

Po raz 44. ogłoszono nominacje do nagród muzycznych Grammy. Trzy ze 101 kategorii przyznawane są za muzykę filmową – i tu właśnie mamy fantastyczne akcenty. Oto „fantastyczne” nominacje w poszczególnych kategoriach:

Muzyka oryginalna do filmu kinowego lub telewizyjnego: John Williams („A.I.”); Tan Dun („Przyczajony tygrys, ukryty smok”); Danny Elfman („Planeta małp”)

Piosenka do filmu kinowego lub telewizyjnego: „A love before time” („Przyczajony tygrys, ukryty smok”).

Kompilacyjna ścieżka dźwiękowa do filmu kinowego lub telewizyjnego: „Shrek”.

*misz*

### SHYAMALAN WRACA Z NOWYM FILMEM

Światło dzienne ujrzały zdjęcia z najnowszego filmu twórcy „Szóstego zmysłu” M. Nighta Shyamalana. Mel Gibson i Joaquin Phoenix będą próbowali wyjaśnić tajemnicę pochodzenia dziwnych znaków, które pojawiły się na ich polu.

*misz*



## POWSTAJE PARODIA „WIEDŹMINA”

W marcu ruszą zdjęcia do parodii „Wiedźmina” p.t. „Wiedźman”. Film ma być pełnometrażowy, realizowany kamerą cyfrową (HDTV), a nawet z „blue boxem”. Film powinien być gotowy w czerwcu. Wyreżyserują go Sylwia Okonkwo i Arnold Buzdygan. Producentem „Wiedźmana” jest wrocławska firma Astec S.A.



Wiedźman to człek już niemłody. Nieudacznik życiowy i fajtłapa z dużym piwnym brzuszkiem. Okoliczna ludność pamięta go jednak również jako postawnego, dobrze zbudowanego i przystojnego chłopca co się zowie. Dlaczego? Otóż Wiedźman nosi flakonik, w którym przetrzymuje Dżina, którego wypuszcza zawsze gdy ma jakieś kłopoty. Pojawieniu się pomocnika Wiedźmana towarzyszy rozchodzenie się bardzo nieprzyjemnego zapachu, co twórcy filmu zamierzają wykorzystać do zbudowania paru zabawnych sytuacji. Wiedźman wspólnie z Bardem z Jaskrą ratuje Cyryllę porwaną przez zbrojów. Bohater zamierza zwrócić ją rodzicom. Niestety pewnego dnia dziewczynka znika razem z... magicznym flakonikiem. Zrozpaczony Wiedźman rozpoczyna poszukiwania Cyrylli. *Po drodze jest pełno gagów - część lekko*

*obszerniejsza, część brutalna. Film jest celowo przeładowany „nagością”, aktorki bardzo często paradują w lekkim negligu, lub topless, ale nie w sposób asekualny, jak w wiadomym filmie. Choć może zabrzmi to absurdalnie, chcemy zrobić parodię, ale taką, po której fani fantasy będą mogli powiedzieć, że jest to film, który pomimo tego, że jest w nim dużo zgrzywu, trzyma się klimatu, jest wciągający i nawet wzrusza - powiedział Arnold Buzdygan.*

Twórcy „Wiedźmana” stawiają na aktorów nieprofesjonalnych, choć zgłaszają się do nich także ludzie z wrocławskich teatrów, szkół aktorskich, operetki oraz opery. Na razie obsadzono tylko kilka postaci: Yen, Dolaropełka, Europełka, Cyrylla i Dżin.

Więcej informacji o „Wiedźmanie” oraz o jego twórcach znaleźć można na stronie [www.wiedzman.pl](http://www.wiedzman.pl). Tamże zamieszczony został sympatyczny komiks, również o tytule „Wiedźman”.

*misz*

### KTO ZASTĄPI FURLONGA W „T3”?

Twórcy trzeciej części „Terminator 3: Rise of the Machines” – postanowili, że w filmie nie zagra Edward Furlong. Aktor, który wcielić miał się w rolę Johna Connora, wykluczony został z obsady z powodu kłopotów z alkoholem. Na liście potencjalnych kandydatów, którzy zastąpić mogą Furlonga, znaleźli się trzej aktorzy. Są to: Chris Klein, Scott Speedman i Shane West.

Obecnie jedyny aktor, którego udział w filmie jest pewny, to Arnold Schwarzeneger. Pozostali członkowie obsady znani będą najprawdopodobniej w najbliższym czasie, ponieważ początek zdjęć zaplanowany został na kwiecień tego roku.

*misz*

## BĘDZIE „INDIANA 4”

Steven Spielberg stwierdził w jednym z wywiadów, że czwarta część przygód Indiany Jonesa należy do najważniejszych projektów, które zamierza w najbliższym czasie zrealizować. „Mamy już tytuł, ale nie mogę go jeszcze zdradzić” – twierdzi reżyser. Spielberg ujawnił również, że w czwartej części przygód słynnego archeologa u boku Harrisona Forda ponownie wystąpi jego żona, Kate Capshaw, która zagrała w filmie „Indiana Jones i świątynia zagłady” z 1984 roku.

*misz*

## SCOTT ZNÓW OBCY

Ridley Scott ujawnił, że poważnie zastanawia się nad realizacją piątej części „Obcego”. Ma już nawet kilka pomysłów na fabułę. „Myślę, że najważniejszą rzeczą teraz jest stworzenie dobrej historii” – twierdzi. Jednym z pomysłów było sprowadzenie Obcych na Ziemię, ale sam reżyser opowiada się za innym rozwiązaniem: „Powinniśmy wrócić tam, gdzie te stwory zostały po raz pierwszy odnalezione. Do tej pory nikt jeszcze nie wyjaśnił, skąd one się właściwie wzięły. Zawsze byłem zdania, że kosmiczny statek przewożący te organizmy mógł być bronią wysłaną w kosmos”.

*misz*

## ASTERIX ZNÓW AKTORSKO

Do ponad 900 kin we Francji weszła superprodukcja „Asterix 2: Misja Kleoparta”. Francuzi spodziewają się, że film pobije rekordy „Harrego Pottera”, „Władcy Pierścieni”, a nawet pierwszej części „Asterixa”. „Asterix 2” to najdroższa produkcja w historii francuskiej kinematografii. Wybudowanie starożytnego Egiptu w Maroku i na Malcie, zaproszenie największych francuskich aktorów i wreszcie efekty specjalne kosztowały 45 milionów dolarów.

Intryga nie jest zbyt skomplikowana. Kleopatra by pokazać Juliuszowi Cezarowi, że nie tylko Rzymianie coś potrafią, obiecuje mu wybudować najpiękniejszy pałac świata w trzy miesiące. Zadanie to powierza Numerobisowi, który zachęcony groźbą zjedzenia przez krokodyle wzywa na pomoc Asterixa i Obelixa z ich magiczną miksturą.

W rolach głównych wystąpią oczywiście ponownie Gerard Depardieu (Obelix) i Christian Clavier (Asterix). Ponadto w filmie zobaczymy Monikę Belucci (Kleopatra) oraz Jamela Bebbouze (Numerobis). Reżyserem obrazu został Alain Chabat, komik odpowiedzialny za programy rozrywkowe we francuskiej telewizji Canal Plus. Sam reżyser wcielił się w postać Juliusza Cezara.

Francuscy producenci mają nadzieję, że „Misja Kleopatra” zarobi więcej niż jej poprzednik (97 milionów dolarów na świecie – w samej Francji 9 milionów widzów). Polska premiera zapowiedziana jest na lato.

*misz*



# POTTERNIUSY

## POTTER KASUJE BRIDGET

„Harry Potter i Kamień Filozoficzny” został najpopularniejszym filmem roku 2001 w Wielkiej Brytanii. Film Chrisa Columbusa zarobił do 31 grudnia 54,6 mln funtów. Drugie miejsce zajęł „Pamiętnik Bridget Jones”, a na najniższym stopniu podium znalazł się kolejny fantastyczny akcent: „Shrek”. „Władca Pierścieni, część I: Drużyna Pierścienia” znalazł się dopiero na czwartym miejscu z zyskiem 25,8 mln funtów – dokonał tego jednak przez zaledwie 12 dni wyświetlania.

*misz*



## „CZARA OGNI” NAJPOPULARNIEJSZA NA WYSPACH

Jak wynika z dorocznego rankingu brytyjskiego dziennika „The Guardian”, w ubiegłym roku najczęściej czytelników miała na Wyspach ostatnia książka J.K. Rowling. Powieść „Harry Potter i Czara Ognia” rozeszła się w Wielkiej Brytanii w nakładzie ponad 1 mln 800 tys. egzemplarzy. Rowling pokonała nawet Johna Grishama i jego najnowszy thriller „Bractwo”

W mijającym roku wśród autorów 100 najbardziej poczytnych powieści kobiety uzyskały po raz pierwszy od niepamiętnych czasów liczebną przewagę nad mężczyznami. W tym roku na prestiżową listę bestsellerów zakwalifikowały się 53 panie, z czego aż 12 weszło do pierwszej dwudziestki.

*misz*

## POTTER REKORDOWY RÓWNIEŻ W POLSCE

Film „Harry Potter i Kamień Filozoficzny” w ciągu pierwszego weekendu wyświetlania w Polsce zobaczyła rekordowa liczba 355 tysięcy 955 widzów. Jest to największe „otwarcie” filmu zagranicznego w naszym kraju. O wynikach oglądalności poinformowała firma Warner Bros. Poland, polski dystrybutor obrazu Chrisa Columbusa.

Poprzedni rekord wynosił 280 tys. 093 widzów i należał do filmu „Dzień Niepodległości” Rolanda Emmericha. „Otwarcie” „Titanica”, który wśród zagranicznych filmów szczyty się jak na razie największą liczbą widzów w ogóle, to 225 tys. 044 osoby w czasie pierwszego weekendu.

„Potter” przebił też prawie wszystkie polskie superprodukcje, między innymi: „Ogniem i mieczem” – 335 tys. 613 widzów, „W pustyni i w puszczy” – 321 tys. 868 widzów, „Quo vadis?” – 305 tys. 825 widzów. Obraz o małym czarodzieju został pokonany jedynie przez „Pana Tadeusza” – film Andrzeja Wajdyw ciągu pierwszego weekendu wyświetlania obejrzało 424 tysiące 895 widzów.

*misz*





## ROWLING JUŻ TEŻ W KAJDANACH...

Joannę K. Rowling wysła za mąż za swojego partnera Neila Murray'a. Ślub 36-letniej Rowling i 30-letniego Murraya odbył się w wielkiej tajemnicy 26 grudnia, w posiadłości tej pary w Perthshire, w Szkocji. W ceremonii uczestniczyli tylko najbliżsi młodej pary. Rowling i Murray, lekarz-anestezjolog, poznali się nieco ponad rok temu w Edynburgu. Oboje mają za sobą nieudane małżeństwa. Pierwszym mężem Rowling był portugalski dziennikarz Jorge Arantes, z którym pisarka ma córkę – 8-letnią Jessicę.

*misz*

## „KOMNATA TAJEMNIC” ROK PO „KAMIENIU”

Premiera filmu „Harry Potter and The Chamber of Secrets” zapowiadana jest na listopad 2002 r. Należy przypuszczać, że w Polsce film będzie wyświetlany z podobnym poślizgiem, jak w tym roku. Zatem – do stycznia!

Tymczasem w Internecie pojawiło się pierwsze oficjalne zdjęcie pochodzące z filmu. Nie jest szczególnie emocjonujące, niewiele zresztą na nim widać. Wkrótce mają się pojawić następne zdjęcia.

*misz*



## HARRY, FRODO I ANANKIN W „STRASZNYM FILMIE 3”

Harry Potter, Frodo Baggins i Anakin Skywalker spotkają się na planie trzeciej części „Strasznego filmu”. Wytwórnia Dimension Films ogłosiła, że nabyła prawa do scenariusza opowieści zatytułowanej „Scary Movie 3: Episode I – Lord of the Brooms” autorstwa Jasona Friedberga i Aarona Seltzera, współtwórców pierwszej opowieści.

„Straszny film 3” będzie kolejną parodią hitów kinowych. Tym razem najbardziej ma się dostać twórcom gwiazdnej sagi, Peterowi Jacksonowi i realizatorom filmowej opowieści o Harrym Potterze.

Podobno „Straszny film 3” ma być opowieścią o sierocie, który wyrusza w magiczną podróż dookoła świata i... wszechświata, by uwolnić wszystkich od zła. „Nasz nowy pomysł rozszerzy dotychczasowe horyzonty *Strasznych filmów*. W *Strasznym filmie 3* pojawiają się statki kosmiczne i latające miotły” – mówi Bob Weinstein, szef wytwórni Dimension Films.

Na razie nie wiadomo, kto wystąpi w trzeciej części zwiariowanej opowieści. Zdjęcia mają rozpocząć się w marcu 2002 roku. Producenci chcieliby, aby film pojawił się na ekranach kin już jesienią.

Zrealizowany w roku 2000 „Straszny film” zarobił na świecie prawie 157 milionów dolarów. „Straszny film 2”, który zadebiutował na ekranach światowych kin w lipcu 2001 roku, ma już na koncie ponad 117 milionów dolarów.

*misz*

# Szanować pisarza

Przy tworzeniu filmowych wersji książek zawsze istnieje dylemat: na ile trzymać się oryginału, a na ile dopuścić swobodę twórczą reżysera. Swobodę taką (całkowitą) mieli twórcy „Wiedźmina” – i nie wyszło to zdecydowanie filmowi na dobre. Podobnych przykładów nadmiernej ingerencji w oryginał każdy potrafi wymienić przynajmniej kilka. Reżyser filmowego „Pottera”, Chris Columbus, zrezygnował całkowicie ze swojej inwencji, poddając się pełnej kontroli ze strony autorki dzieła. Można by pomyśleć, że taka druga skra jność – tym razem na przeciwnym biegunie swobody twórczej – również źle wpłynęła na film. Jest jednak wręcz przeciwnie: „Harry Potter i Kamień Filozoficzny” to jeden z najlepszych filmów fantastycznych ostatnich kilku lat (choć taki „A.I.”, recenzowany obok, to jednak film o klasę lepszy).



Od razu muszę zastrzec, że film oglądałem jako zagorzały fan książek, na dodatek znający fabułę na pamięć. Nie jestem w stanie postawić się w położeniu osób, które oglądały film „na zielono”, dlatego nie będę nawet próbował wczuć się w ich punkt widzenia. Podejrzewam jednak, że ich wrażenia będą jeszcze lepsze niż „widzów po lekturze”.

Film jest wyśmienity. Przede wszystkim zainwestowano w niego odpowiednią sumę pieniędzy, w wyniku czego świat przedstawiony jest rzeczywiście fantastyczny: efekty specjalne są doskonałe, nigdzie nie widać żadnej sztuczności. W połączeniu z równie dobrą scenografią i profesjonalnymi zdjęciami Johna Seale'a powstał „autentyczny” świat czarodziejów: Ulica Pokątna z bankiem czarodziejów, londyński peron 9 i trzy czwarte z ekspresem – oraz szkoła magii i czarodziejstwa wreszcie, z jej sowami, duchami, różnymi magicznymi przyrządami i istotami, jak też z quidditchem oczywiście.

Film jest wewnętrznie spójny, w czym widać rękę pani Rowling. Scenariusz autorstwa Stevena Klovesa w sposób niebywale wierny odtwarza wydarzenia książki. Jedyne momentami zauważyć się dają uproszczenia i skróty w stosunku do powieści, nieuniknione w tym i tak długim filmie (najbardziej „ucierpiał” wątek norweskiego smoka kolczastego). Trochę mniej jakby codziennego życia Hogwartu, akcja skupia się na intrydze stanowiącej oś pierwszego tomu – ale to chyba jedyne możliwe wyjście w tym filmie. Zauważyłem właściwie jeden tylko szczegół, którego brak jest nieuzasadniony: po pierwszym meczu quidditcha nie ma już ani słowa więcej na temat jego rozgrywek, w efekcie nie wiadomo, co się właściwie stało z Pucharem Quidditcha i dlaczego nie zdobył go Gryffindor (dom Harry'ego).



Nie ma chyba w filmie jakichś wielkich scen, takie przynajmniej odniosłem wrażenie podczas jedyne go jak dotąd oglądania. Najbliższy zasłużenia na to miano jest moim zdaniem mecz quidditcha, oddany rzeczywiście kapitalnie. Większość scen to sceny we wnętrzach, po których trudno oczekiwać jakiejś monumentalności. Cóż, taka ekranizacja, jaki materiał – na prawdziwe emocje trzeba poczekać do ekranizacji następnych tomów.

Znakomita jest strona aktorska filmu. Nie na darmo zaangażowano do produkcji plejadę brytyjskich gwiazd. Świetny jest Alan Rickman jako nieprzyjemny profesor Snape. Doskonale pasuje do swojej roli Maggie Smith – występująca jako surowa, ale sprawiedliwa profesor McGonagall. Idealnie wypada Robbie Coltrane jako nieco bez troski i „dziki” Rubeus Hagrid. Profesjonalnie i dobrze grają zresztą i pozostali brytyjscy gwiazdorzy, występują oni jednak jedynie w niewielkich rolach.

Najważniejsi są jednak oczywiście bohaterzy dziecięcy. I tu szczególne brawa należą się rewelacyjnej Emmie Watson (Hermiona Granger), potrafiącej doskonale i lekko wcielić się w postać żywej i wesołej, zadzierającej nieco nosa kujonki (początkowo) oraz wiernej przyjaciółki (z czasem). Bardzo dobry, choć nieszczerze często pojawia się na ekranie, jest Tom Felton (Draco Malfoy), jako złośliwy i „śliski”, nieprzyjemny przedstawiciel „złego” domu Slytherin.



Role Daniela Radcliffe'a (Harry Potter) i Ruperta Grinta (Ron Weasley) są poprawne, a nawet bardzo poprawne – to znaczy niezłe, ale bez rewelacji. Trzeba jednak przyznać, że ich role nie dają im szczególnego pola do popisu: po prostu ich postaci są stonowane i spokojne, nie okazujące większych emocji. Większe możliwości będą obaj mieli już w drugiej części – a i umiejętności, wynikłe z doświadczenia, będą mieli, jak sądzę, większe. Zresztą o takim poziomie gry dziecięcych aktorów i tak możemy w Polsce tylko pomarzyć, więc nie ma co marudzić.

Znakomitym dopełnieniem powyższych elementów jest ilustracja muzyczna Johna Williamsa. Rekordzista Oscarowy po raz kolejny udowodnił, że zna się na rzeczy: muzyka w filmie jest naprawdę doskonała (a wiem, co mówię, bo siedzę właśnie podczas pisania ze słuchawkami na uszach, słucham – i coraz bardziej mi się podoba). Warto zaopatrzyć się w ten krążek, choćby i bez oglądania filmu.

Dlaczego „Harry Potter i Kamień Filozoficzny” to moim zdaniem film świetny?



Przede wszystkim wszystko trzyma się kupy, nic nie zgrzyta. Może tu właśnie tkwi właściwa droga przy dokonywaniu adaptacji literatury – uszanować po prostu spójną koncepcję pisarza i nie zmieniać jej na siłę, aby tylko zaakcentować swoją własną (reżysera, scenarzysty) rolę jako twórcy. Szczególnie wydaje się to zalecenie dotyczyć powieści Rowling, które są niezwykle uporządkowane, w których niemal każdy szczegół jest ważny dla całości. A może nie ma jednej reguły i każdy przypadek rozpatrywać trzeba osobno – kto wie. W przypadku „Pottera” w każdym razie „samoograniczenie” filmowców sprawdziło się.



Michał Szklarski

„Harry Potter i Kamień Filozoficzny” („Harry Potter and the Philosopher’s Stone”). USA/Wielka Brytania 2001. **Obsada:** Daniel Radcliffe (Harry Potter), Rupert Grint (Ron Weasley), Emma Watson (Hermiona Granger), Richard Harris (prof. Dumbledore), Maggie Smith (prof. McGonagall), Alan Rickman (prof. Snape), Robbie Coltrane (gajowy Hagrid), Tom Felton (Draco Malfoy), Ian Hart (prof. Quirell), Richard Griffiths (Vernon Dursley), Fiona Shaw (Petunia Dursley), John Cleese (Prawie Bezgłowy Nick), Sean Biggerstaff (Oliver Wood), David Bradley (woźny Filch), Joshua Herdman (Goyle), James Waylett (Crabbe), Matthew Lewis (Nelille Longbottom), Chris Rankin (Percy Weasley), Julie Walters (pani Molly Weasley), Zoë Wanamaker (pani Hooch), Warwick Davis (prof. Flitwick, goblin w Banku Gringotta). **Reżyseria:** Chris Columbus. **Scenariusz:** Steven Kloves. **Zdjęcia:** John Seale. **Montaż:** Richard Francis-Bruce. **Muzyka:** John Williams. **Dekoracje:** Stephanie McMillan.



## Pinokio w krainie robotów

Mistrz Kubrick nie doczekał niestety realizacji filmu, który miał być zwieńczeniem jego kariery. Miało to być jego szczytowe osiągnięcie – Los postanowił jednak inaczej. Mistrz zostawił jednak kompletną koncepcję, którą pozostawało zrealizować – w nadziei na zyski, oczywiście, ale i z szacunku dla Mistrza. Steven Spielberg to chyba jedyna osoba, której można było powierzyć realizację „Sztucznej Inteligencji” bez obaw – gdyż jest to reżyser równie wielkiej klasy, choć w dziedzinie fantastyki nie stworzył dzieła równego Kubrickowej „2001”; który udowodnił wielokrotnie, że potrafi pracować na każdym planie, a szczególnie udają mu się filmy z dziećmi.

Film Spielberga nie jest najlepszym osiągnięciem Kubricka, bo wspomnianej „Odysei kosmicznej” nie sposób – przynajmniej moim zdaniem – w kategorii filmów fantastycznych pobić. Jest jednak szczytowym osiągnięciem Spielberga w tej dziedzinie, a Kubricka – bodaj drugim pod względem ważności, może nawet lepszym od „Lśnienia”. „A.I.” umieszczam w pierwszej dziesiątce prywatnej klasyfikacji fantastycznych filmów wszechczasów.

Wydawałoby się, że po „Blade Runnerze” ciężko powiedzieć coś szczególnie nowego w tematyce robotów/androidów – tymczasem historia Kubricka jest oryginalna, niezwykła i poruszająca. Ludzie mają już roboty o ludzkim wyglądzie, zaspokajające różne ich potrzeby (nawet seksualne) – ale jednego nie udało się im osiągnąć. Roboty nie czują, nie kochają, a zarazem nie cierpią. Są im dostępne jedynie substytuty uczuć: ich zewnętrzne oznaki, zaprogramowane przez ludzi. Nadchodzi jednak rewolucja i pod tym względem – możliwe staje się stworzenie robota, który naprawdę kocha.

David (Haley Joel Osment) to pierwsza istota tego właśnie gatunku – chłopiec-robot, który obdarza miłością i sam pragnie być kochany. Przyczyną jego stworzenia jest limitacja urodzin, związana z katastrofą klimatyczną efektu cieplarnianego. Robot może się stać pewną namiastką prawdziwego dziecka... David trafia do Harry'ego i Moniki Swintonów – małżeństwa, którego syn, aby uniknąć śmierci, od lat pogrążony jest w śnie kriogenicznym. On już się zdecydował, ona ma bardzo poważne wątpliwości. W końcu jednak, mimo wyrzutów sumienia i świadomości, że David to jedynie „substytut własnego dziecka” – wypowiada wobec niego określoną sekwencję słów, co w sposób nieodwracalny rodzi u niego więź do niej. Chłopiec ma już od tego momentu matkę, którą kocha – ale ta nie potrafi odwzajemnić miłości. Sytuacja komplikuje się jeszcze, gdy Martin (syn Moniki) budzi się niespodziewanie ze śpiączki i wraca do domu. David wie, że jego miłość jest nieodwzajemniona, i wszystko, czego pragnie, to – aby Monika go pokochała. Nic z tego jednak – „rodzice” nie



potrafią traktować go jak człowieka; a gdy stwarza przypadkiem zagrożenie dla życia Martina, Monika zostawia go w jakimś odległym lesie.

I tutaj właśnie rozpoczyna się to, co jest w filmie naprawdę niezwykle i piękne. David słyszał od Moniki bajkę o drewnianym Pinokiu, którego wróżka przemieniła w końcu w człowieka. Zdaje sobie sprawę, że nie kocha go, ponieważ jest sztuczny – zatem i on, w sposób po dziecięcemu naiwny, wyrusza na poszukiwanie swojej Błękitnej Wróżki, która zmieniłaby go w prawdziwego chłopca. I zmierza w swojej podróży poprzez świat ludzkiej dekadencji, świat „schyłkowy”, mający już wyraźnie za sobą najlepsze czasy, za towarzyszy mając mądrego misia-robota i androida-zigolaka... Robot okazuje się bardziej ludzki od ludzi, pozbawiony ich wad; niewinny, choć cierpiący z powodu ludzi. Co jednak najważniejsze, jego miłość, ból i strach są prawdziwe, każąc mu zdążyć konsekwentnie do celu – do „miejsca, gdzie rodzą się marzenia”.

Śmiało trzeba powiedzieć, że nie byłoby „Sztucznej Inteligencji” bez Kubricka, raczej nie byłoby jej bez Spielberga, ale na pewno nie byłoby jej bez młodego Osmenta. Haley Joel Osment to chyba jedyny aktor, który mógł zagrać taką rolę – a zrobił to w sposób absolutnie genialny. Nie ma tu nad czym deliberować, trzeba po prostu oglądać i bić brawo. Z pewnością Osment dostanie znów nominację do Oscara, a tym razem naprawdę ma szansę na samą statuetkę... Znowu, podobnie jak w „Szóstym zmyśle”, mamy tu jeszcze kilka naprawdę świetnych ról (Frances O'Connor – Monika, również duża szansa na Oscarową nominację; Jude Law – robot-zigolak Joe; William Hurt – profesor Hobby; i wielu innych), zresztą trudno dostrzec w całym filmie jakiegoś słabszego aktora – ale wszystkie te role, prawem kontrastu, błędą wobec 12-letniej gwiazdy.

Reszta to pochodne, można by powiedzieć, wobec trzech najważniejszych osób wymienionych w poprzednim akapicie – ale „pochodne” te są również ważne dla całości, dopełniają film. Jak zwykle wielką muzyczną klasę zaprezentował dyskretny tym razem John Williams (wspomagany w kilku scenach przez grający sam siebie zespół hardrockowy Propellerheads, znany już ze ścieżki dźwiękowej



„Matrixa”). Piękne, budujące atmosferę, są zdjęcia naszego Janusza Kamińskiego – naprawdę możemy być dumni z jego udziału w takim filmie. Ze scenografi największe chyba wrażenie robi „arena robotów”. Cały zresztą film został wykonany przynajmniej profesjonalnie i nie sposób znaleźć w nim jakichś zgrzytów. (Spotkałem się z narzekaniem na wyraźnie Spielbergowskie zakończenie, które ponoć „odmóżdża” i nie pasuje; nie zgadzam się z tą opinią. Rzeczywiście, oni [oczywiście nie zdradzę nie znającym filmu, co za „oni” nie są tam konieczni, ale z punktu widzenia spójności filmu są dopuszczalni).





Spielberg potrafi robić filmy – i wojenne, i obyczajowe, i fantastyczne; i dynamiczne, i nastrojowe. Tutaj obraz jest stonowany, nastrojowy, liryczny wręcz. Akcja toczy się z ścią Kubrickowskim spokojem, dużo jest „statycznych” scen we wnętrzach, choć i dynamiki nie brakuje, kiedy jest potrzebna. Jest w filmie kilka scen naprawdę wstrząsających: kiedy David-Osment krzyczy na arenie, ledwo unikając śmierci (albo raczej: „śmierci”, choć jego strach jest pozbawiony cudzysłowu); kiedy z rozpaczą usiłuje zachować swoją indywidualność tuż przed spotkaniem ze swoją „wrózką”; kiedy poddaje się, rezygnuje, gdy boleśnie uświadamia sobie, czując rozpacz i bezsilność, że jest tylko pierwszym z gatunku, a wróżki istnieją tylko w bajkach... Że człowiek, jego genialny stwórca, nie jest wszechmocny: potrafi coraz to bardziej udoskonalać swoje twory, potrafi stworzyć doskonale ludzkiego robota – ale nie potrafi udoskonalić siebie.

*Michał Szklarski*



„A.I. – Sztuczna Inteligencja” („Artificial Intelligence: A.I.”). USA 2001 **Reżyseria:** Steven Spielberg. **Scenariusz:** Steven Spielberg (screen story: Ian Watson na bazie opowiadania Briana Aldissa „Supertoys Last All Summer Long”). **Obsada:** Haley Joel Osment (David), Frances O'Connor (Monica Swinton), Sam Robards (Henry Swinton), Jude Law (Gigolo Joe), William Hurt (profesor Hobby), Jake Thomas (Martin Swinton). **Muzyka:** John Williams. **Zdjęcia:** Janusz Kamiński. **Dekoracje:** Nancy Haigh

## Najdłuższy trailer

Na premierę „Wiedźmina” Marka Brodzkiego wybierałem się bez nadziei, że ujrzę wybitne dzieło, ale wydawało mi się, iż są spore szanse na przyzwoity i dobrze opowiedziany film. Tymczasem ujrzałem kino nieporadne i po prostu złe. Twórcy nie wyciągnęli z lektury Sapkowskiego żadnych wniosków, co więcej – dopuścili się nadużycia, reklamując go jako opowieść o miłości wiedźmina i czarodziejki, mimo ograniczenia do epizodu roli Grażyny Wolszczak. Smaczku dodawało też wycofanie przez autora scenariusza nazwiska z czołówki. Tymczasem wielokrotnie przerabiany scenariusz był tak niedobry, że – jak twierdzą wtajemniczeni – scenarzyście podziękowano w niezbyt elegancki sposób. Tyle w temacie plotek i oczekiwań, czas na przyjrzenie się filmowi.

Braki scenariusza wylażą z każdej niemal sceny obrazu. Odwracanie kontekstów literackiego pierwowzoru, swoboda w traktowaniu jego wątków i nachalne lansowanie prawa niespodzianki na główną siłę rządzącą życiem bohaterów prowadzą opowieść na manowce. A jeśli nałoży się jeszcze na to słabsza forma montażysty, to otrzymujemy takie perełki, jak scena rozmowy Geralta ze Stregoborem, podczas której czarodziej dostrzega rzeź świątyni Melitele, a widz jest przekonany, że to samo ogląda wiedźmin. Że było inaczej, dowiedzieć się można dopiero po rozprawie Geralta z bandą Renfri, gdy Stregobor nie chce z nim mówić. Takie ujęcie tematu wskazuje, że wiedźmin jest jednak osławionym „rzeźnikiem z Blaviken”, który wymordował bandę księżniczki-renegatki dla sportu. Wątek Dzierzby wnosi więc ze sobą najwięcej zamieszania, zwłaszcza że sama Renfri wygląda niemal identycznie jak Yenifer.

Świadomi chyba tych słabości – twórcy co kilkanaście minut próbują oderwać uwagę widza od tego, co dzieje się na ekranie, fundując mu pokaz negligu akurat obecnej w tym czasie w kadrze aktorki czy aktorek (ale rozbieranie Marysi Peszek to już przesada!). Żeby jednak oddać sprawiedliwość scenariuszowi, warto pochwalić go za odwagę dopisania Geraltowi początków biografii. Prawda, że znowu (sic!) na przekór autorowi, ale skoro nie zakupiono praw do „Drogi, z której się nie wraca”, trzeba było jakoś z tego impasu wybrnąć i wybrnięto z wdziękiem. Może nie na miarę Milliusa, który pokazał dzieciństwo Conana, ale i tak lepiej niż w całej reszcie filmu. Ciekawie pomyślany jest także wątek Gwidona-Falvicka, ale nic w nim oryginalnego.

Nad scenariuszem zaciążyła wyraźnie mechanika serialu, która każe zawieszać akcję w momencie jej największego spiętrzenia, by widzowie włączyli telewizor, gdy będzie emitowany następny odcinek. Zresztą, w trakcie gdańskiej premiery medialnej filmu, nikt z ekipy nie ukrywał, że to czego najbardziej brakuje filmowi, pojawi się w serialu. I tu dochodzimy do meritum! Kinowy „Wiedźmin” jest jedynie dwugodzinnym zwiastunem telewizyjnego trzynastoodcinkowego serialu (miało być 12 odcinków, ale po zmontowaniu okazało się, że zostało jeszcze tyle materiału, że da się sklecić 13., specjalny odcinek, w którym niedomyślnym widzom jasno się przedstawi, kto zabił). Przy takim podejściu do sprawy – trudno się dziwić, że film się rozlatuje w szwach (pierwsza godzina jest w ogóle do niczego), miłosne perypetie Geralta i Yenifer ograniczają się do krótkiej (rozbieranej, a jakże) retrospekcji, a na humor, z którego słyną opowieści Sapkowskiego, nie starcza czasu. Były już w polskiej kinematografii

eksperymenty z jednoczesnym kręceniem serialu tv i filmu kinowego (np. „Pan Wołodyjowski”), ale nigdy jeszcze chyba, nie wyszło to filmowi tak na złe, jak „Wiedźminowi” (pomijam próby montowania filmu fabularnego z odcinków serialu, jak w wypadku „Janosika”, ale kto wie, czy nie za bardzo wzięto przykład z tej poronionej produkcji).

Magia filmu fantasy, a za taki chce uchodzić „Wiedźmin”, polega między innymi na oddziaływaniu scenografii. Podobnie jak w kinie kostiumowym mamy bowiem w fantasy do czynienia ze skonwencjonalizowanymi zachowaniami bohaterów i startymi do cna schematami fabularnymi. W literaturze tuszuje się te zjawiska, umieszczając je w niezwykłych światach, a w kinie – w wymyślnych dekoracjach. Tymczasem ekipa pana Brodzkiego – a Ewa i Andrzej Przybyłowie w szczególności – uznała, że co tam wystawność obrazu, skoro mamy taką śliczną własną prząsność. Myślenie kategoriami „Cepelii” zaszkodziło filmowi nie mniej od scenariusza. W płaskiej, pustej i ubogiej scenerii rozgrywa się siermiężny dramat, ale nie tyle bohaterów, co filmowców, którzy nie wiedzą, co czynić ze skarbem, który mają w rękach. To już nawet legion seriali spod znaku „Herkulesa” i „Xenny” wygląda lepiej niż nasze rodzime dokonanie. Tak jak kiedyś „Wirus” ośmieszył polskie kino „cyberpunkowe”, tak dzisiaj „Wiedźmin” udowadnia, że w fantasy też nie mamy czego szukać.

A szkoda, bowiem na przykład komputerowe efekty specjalne bronią się całkiem nieźle, znacznie lepiej niż tradycyjne (żenująca nieporadnością scena na zamku w Cintrze), a Złoty Smok wygląda o niebo lepiej niż lateksowe potwory trzebione przez wiedźmina.

Dobrze aranżowane są też sceny walk, chociaż dynamicznego montażu mogliby się nasi spece wreszcie nauczyć (wystarczyło wzorować się na „Bładzie”).

Sprawą sporną jest także muzyka. Motyw otwierający film jest naprawdę dobry, reszta wypada dużo gorzej, a już melodia towarzysząca Yennefer budzi mój wewnętrzny sprzeciw. Podobają mi się ballady Jaskra (poza pierwszą), ale piosenka Gawlińskiego – nie. Smutnym memento jest to, że odszedł od nas jej twórca i w wersji serialowej niczego już nie poprawi.

Największą zbrodnią filmu jest jednak odarcie go z oryginalnych dialogów Sapkowskiego. Gdyby choć 30% kwestii wypowiedzianych przez aktorów pochodziło z opowiadań Sapka, lub udatnie je naśladowało, rozrehotany widz nie miałby czasu zastanawiać się nad tym, co robi na seansie. A tak – lipa! No i zabrakło „batystowych majteczek”, które dla opowiadań Sapkowskiego są tym, czym zdanie „Bar wzięty!” dla „Ogniem i mieczem” i koncert Jankiela dla „Pana Tadeusza”. Czy tylko przez przypadek tych kluczowych elementów zabrakło w ekranizacjach z głównymi rolami Żebrowskiego?! Reżyserzy raczą wiedzieć.

Moje obawy co do losów filmowego „Władcy Pierścieni” po klęsce „Wiedźmina” znacznie wzrosły. Tymczasem polska premiera obrazu Jacksona zbliża się wielkimi krokami.

grzeszcz



## W następnym wieku (6)

### Science, ale niezbyt fiction



„Misja grawitacyjna” Hala Clementa pochodzi z 1955 roku – ma już zatem swoje lata. Według informacji polskiego wydawcy powieść jest typowa dla Clementa i uznawana za najlepsze jego osiągnięcie. „Solaris” lojalnie uprzedza na okładce, że autor „zwracał uwagę przede wszystkim na poprawność naukową, a dopiero potem na fabułę, która tym samym schodziła na plan dalszy wobec pomysłu naukowego”. Dzięki temu zastrzeżeniu czytelnik wie, czego się po powieści spodziewać, i nie może mieć pretensji, że kupił kota w worku.

„Misja...” jest bowiem modelowym przykładem klasycznej sf, gdzie liczą się przede wszystkim pomysł i wiarygodność naukowa. A pomysł jest tu naprawdę niezwykły. Planeta Mesklinia jest niepodobna do żadnej z planet znanych ludzkości: ma masę 16 razy większą niż Jowisz, przy czym jej obrót wokół osi trwa zaledwie 18 ziemskich minut; jest w związku z tym niewiarygodnie spłaszczona (jej obwód w równiku jest ponad dwa razy dłuższy od obwodu południkowego), a dni jest w ciągu ziemskiej doby 80. Na obiekty na równiku działa ogromna siła odśrodkowa, niwelująca w znacznym stopniu przyciąganie. Stąd ogromne różnice grawitacji: na równiku wynosi ona 3 g, na biegunach dochodzi do 700 g. Ziemianie mają nadzieję dowiedzieć się wiele o grawitacji, w tym celu wysyłają w okolice bieguna aparat badawczy. Ten powinien wystartować nawet przy potwornej grawitacji; nie udaje mu się to jednak. Jedyłą szansą na odzyskanie bezcennych danych są Meskliniści-żeglarze, których wysłannik Ziemi, Charles Lackland, spotyka w obszarze niskiej grawitacji.

Meskliniści również są niezwykli: są istotami o długości poniżej pół metra, z nieokreśloną bliżej liczbą nóg i szczypców, „oddychającymi” (lecz nie płucami, których nie mają) wodorem, żyjącymi w temperaturze minus 160 stopni Celsjusza. Niewyobrażalny jest dla nich lot, a nawet obecność czegoś nad ich głowami – bowiem w ich macierzystych rejonach na południu upadek z wysokości 30 cm jest śmiertelny. Meskliniści zgadzają się popłynąć, względnie przebyć łodem daleką drogę po bezcenne dla Ziemi informacji.

Rzeczywiście, pod względem wiarygodności naukowej książka została „odpracowana” doskonale. Widać wyraźnie, że autor przemyślał dokładnie budowę świata, dokonał odpowiednich wyliczeń matematyczno-fizycznych, dobrał odpowiednią temperaturę i odpowiednie związki chemiczne... Po czym przystąpił do budowania fabuły. Fabuła jest ewidentnie podrzędna wobec strony techniczno-naukowej utworu: serwuje nam Clement szczegółowe opisy, co i jak (technicznie) robią bohaterzy, w jaki sposób pokonują kolejne przeszkody (występujące głównie w postaci niekorzystnego ukształtowania terenu), kuleje natomiast strona psychologiczna, a nawet językowa powieści. Clement jest jednak przede wszystkim fizykiem, a nie pisarzem. Fabuła dzieli się na wyraźne epizody, które miejscami sprawiają wrażenie tandetnych (zdecydowaną tandetą załatuje spotkanie na wyspach, o czym za chwilę) i doczepionych nieco na siłę. Autor ewidentnie próbuje wymyślać jakieś „wypełniacze” dla dalekiej podróży, widać to szczególnie w początkach drugiej połowy książki. A że pomysłów na to ma ilość nie największą, to powieść jest krótka (200 stron) – przy czym

bodaj jedną trzecią objętości wypełniają rozważania techniczno-fizyczne. Sprawia to, że czyta się powieść względnie ciężko i wolno. Clement pisze zdecydowanie nieplastycznie, a nie jest to jedyna wada jego stylu.

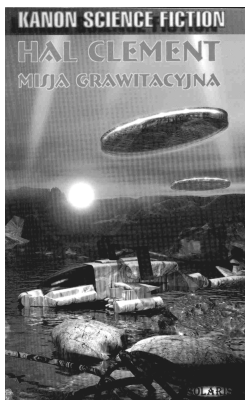
Przedstawienie bohaterów jest nieciekawe: ze „statku” Mesklinitów na przestrzeni całej powieści pokazuje autor jedynie dwóch (kapitana i matę), może trzech, o reszcie natomiast wspomina tylko jako o masie. Kapitan powiedział to lub tamto, mat zasugerował coś innego, a załoga wykonała polecenie. Koniec. Powieść charakteryzuje zero psychologizmu – i maksimum naukowości. Prawdziwym koszmarkiem, dowodzącym tej tezy, jest „morale”. Nieszczęsne morale jest jedynym sposobem, w jaki Clement opisuje stronę psychologiczną załogi (przypominam: przedstawianej tylko *en masse*). Żeby nie być gołosłownym, posłużę się cytataми: „Morale załogi wzrosło, gdy marynarze dowiedzieli się, że 'Bree' będzie kontynuować podróż”; „Mimo że morale nigdy nie było niskie, znacznie się podniosło”; „Załoga była szczęśliwa”; itd. Bredzi autor o tym morale z uporem godnym lepszej sprawy – i dowodzi tylko w ten sposób, że nie umie dobrze pisać.

Nawet nieliczni „żyjący” bohaterzy są niejako konstruktami mającymi prowadzić akcję do przodu, a przede wszystkim prowadzić rozmowy, dzięki którym czytelnik poznaje mechanikę świata przedstawionego. Znaleźć można w „Misji grawitacyjnej” masę nielogiczności w zachowaniu bohaterów. Króluje pod tym względem wspomniane już spotkanie na wyspach, gdzie miejscowi najpierw podejrzliwie biorą bohaterów za szpiegów („Wystarczy jedna osoba, by wykraść nasze ściśle strzeżone tajemnice”), a przekonani co do błędności tej pierwszej opinii, ochoczą zdradzać działanie jednej z broni. Zdarzają się również błędy logiczne: np. na str. 176 linia zwieszająca się z klifu jest za długa, więc jeden z bohaterów, żeglarz przeciw, odcina jej koniec (! – kto miał do czynienia z żeglarstwem, ten wie, jaka to bzdura), ponieważ „wyrobił sobie zdanie co do dokładnej wysokości klifu”; w kolejnym akapicie okazuje się z kolei, że lina jest za krótka, więc ów żeglarz dołącza do niej następną. Z kolei na str. 189 czytamy o Mesklinach widzących rakiety: „Byli odpowiednio obdarzeni przez naturę, aby w mig zrozumieć zasadę działania rakiety”; a dosłownie w następnym zdaniu: „Szacunek marynarzy wynikał nie tylko z braku zrozumienia”.

Podsumowując, Hal Clement za cel postawił sobie wyraźnie zadziwienie czytelnika niezwykłym (uzasadnionym naukowo) pomysłem – i to mu się zdecydowanie udało; nie starczyło mu jednak umiejętności na sprawnie napisanie opartej na tym myślenie, pozbawionej nielogiczności, powieści. Jego styl jest podobny nieco (pod względem „nasylenia naukowością”) do drugiego akapitu tej recenzji: autor powie czytelnikowi, jakie są dokładne wymiary Meskliny, ale nie pokaże raczej sposobu myślenia Mesklinity. (Owszem, powie o tym co nieco, ale jedynie w komentarzach narratorskich). Czy umieszczenie „Misji grawitacyjnej” w serii „Kanon science fiction” nie jest przesadą – trudno to ocenić. Na pewno ma to sens marketingowy – jak wskazują informacje Wojtka Sedeńki z „NF”, powieść zawędrowała w jego księgarni wysyłkowej na pierwsze miejsce w sprzedaży. Na pewno warto się z tą książką zapoznać – chyba jednak nie zaliczyłbym jej do „kanonu”. Ma ona dużo dobrych cech, ale i sporo negatywnych – dla mnie „Misja...” jest przykładem, że nawet genialny pomysł nie wystarczy do stworzenia bardzo dobrej powieści. Do tego trzeba mieć jeszcze wyćwiczone pióro.

Michał Szklarski

Hal Clement „Misja grawitacyjna” („Mission of gravity”). Solaris 2001. Str.: 209. Cena det.: 28,90 zł.



# Co jest grane? (21)

(zapiski „staruchy” z sesji RPG KS STRONG)

W siedemnastym bodaj odcinku „Co jest grane?” pisałam o dramie u mistrza Igły, w której wzięłam udział podczas Nordconu 2000. O iskrzeniu między graczami tam było. Do dziś pamiętam, jakie emocje towarzyszyły mi podczas tej sesji i jakie niesamowite, trudne do nazwania, więzi wytworzały się pomiędzy postaciami. Szczególną uwagę moją zwrócił wówczas gracz Łukasz, który w tym roku objawił mi się jako mistrz.

Nie nastawiałam się na szczególnie wielkie rolleplejowanie podczas Nordconu 2001, mając na głowie parę innych równie ważnych spraw, ale jakąś jedną-dwie sesje zamierzałam zaliczyć. Wybór był dość trudny, bo i Igła kusił, i Masquerady chciałam, i Wilkołaka... Zdecydowałam się na granie w świecie CHANGELING.

Na piątkę uczestników nordconowej sesji tylko dwoje miało doświadczenia związane z tym światem, natomiast trójka to kompletni laicy, w tym niżej podpisana. Nasze obawy, że będziemy błądzić jak dzieci we mgle, okazały się jednak przedwczesne. Łukasz potrafi jako mistrz wytworzyć aurę tak nadzwyczajnego poczucia bezpieczeństwa, że o błędzeniu nie ma mowy. Prowadzi przez meandry CHANGELINGA każdego z graczy niczym dobry opiekunczy duch, otulając swoje „dzieci” motylimi skrzydłami łagodnej barwy głosu, czujnym spojrzeniem, miękkim gestem dłoni, delikatną sugestią, ciszą wreszcie, gdy wymaga tego potrzeba chwili. Klimat - oto, co cechuje sesje mistrza Łukasza, Piwkiem zwanego.

Wyobraźcie sobie świat, w którym nie tyle wy władacie magią (lub ona na was oddziaływuje), co sami jesteście magicznymi stworzeniami. Świat, gdzie sen i jawa stanowią nierozdzielalną jedność. Oniryczne pejzaże Edenu spletają się czasem boleśnie z rzeczywistością tu i teraz. Naszym nordconowym tu-i-teraz był, otulony nocną mgłą, pejzaż współczesnego Londynu. Są w tej mgle zaułki odrażające, ohydne, które - będąc istotami o nadzwyczaj wrażliwych duszach - odczuwamy jako cierpienie. Ale są i piękne parki, i romantyczne barki na Tamizie, są przyjaciele spotykający się co piątek w pubie, w którym uroczy staruszek, sunąc smyczkiem po strunach skrzypiec, wyczarowuje dźwięki, odczuwane każdym kwantem naszego jestestwa.

Piątka przyjaciół - neurasteniczna malarka, niepokojąco tajemniczy chudzielec, arystokrata-architekt, etatowy goniec Buckingham i ekscentryczna właścicielka pubu - są pozornie zwyczajnymi ludźmi. Ale postrzegają otaczającą ich rzeczywistość w większej ilości wymiarów niż dane jest to zwykłym śmiertelnikom. Architektura Londynu w ich oczach nałożona jest, niejako laserunkowo, na zupełnie inne budowle - piękniejsze, wznioślejsze, wymykające się kanonom znanej powszechnie inżynierii. Podobnie jest z ludźmi, których spotykają. Jeden dotyk dłoni, jedno spojrzenie przeciętnego jegomościa mówi im o czarnych zakamarkach jego psyche. Albo przeciwnie - wzbudza bezwarunkową miłość, dla której warto poświęcić wszystko.

Changelingi są istotami psychiką najbliższe dzieciom (tym z czasów, zanim herr Freud zaczął się w nich doszukiwać bóg wie czego): wrażliwość, intuicja, instynkt, czystość intencji, ciekawość w odbieraniu otoczenia jako impulsu do kolejnej zabawy. Ale są to równocześnie dzieci napiętnowane niepojętą tęsknotą do czegoś, co utraciły nie wiedzieć kiedy i nie

wiedzieć dlaczego. Tą stratą jest kraina ich przodków (a może ich samych?...), zanim przyszło im egzystować na tym padole cierpienia i łez, który stanowi współczesny świat. Myliłby się jednak ten, kto myślałby, że odgrywanie postacią dziecka jest udawaniem naiwnego, rozbrykanego brzdąca. Bynajmniej! Powaga w traktowaniu siebie i wydarzeń stanowi warunek właściwego grania. Łukasz już na samym początku sesji jasno określił, na czym to ma polegać. A scenariusz nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do istoty interakcji oraz zadań, które należało zrealizować. Były potwory, były walki, były dyskusje i „burze mózgów”, awanturnicze podróże i mrozące krew w żyłach konfrontacje, i niewyjaśnione tajemnice. Pozornie – wszystko jak w AD&D lub w Wampirze. A jednak inaczej! Bo wszystko to przesycone emocjami dziecięcych (przypominam - nie naiwnych!) doznań i otoczone aurą poetyczności rodem z dziecięcych snów i dziecięcych projekcji. (Z uwagi na scenografię - raczej niemożliwy byłby LARP)

Przygoda, zaplanowana na jeden wieczór, rozwinęła się w dwie wielogodzinne sesje nordconowego czwartku i piątku. Wzięli w niej udział gracze ze sporym, paroletnim doświadczeniem jak również młodzi adepci rollepayingu. Piwek, mimo młodego wieku, okazał się wytrawnym mistrzem. Jego czujność w rozłożeniu akcentów gry na wszystkich była godna podziwu. A przypominam, że miał nie lada zadanie wprowadzenia trójki ludzi w kompletnie nieznaną im dotychczas system RPG.

Uważam, że konwentowe spotkania, umożliwiające wspólne granie ludzi z różnym stopniem doświadczenia - świeżych zapaleńców i „profesjonalistów” - dają wspaniałe efekty: starzy rutyniarze uczą się od młodzieży świeżości i zapału, młodzi nabywają polotu i koloru w kreowaniu postaci. Dzięki, Piwek, za CHANGELINGA. Życzę Ci dalszych sukcesów w mistrzowaniu. Proszę o uwzględnienie mojej osoby w swoim scenariuszu na następnym Nordconie. (cdn)

*Ignis*

P.S.

W związku z pewnymi rozmowami w ZK Hutnik, tudzież licznymi pytaniami podczas nich, odpowiadam: podtytuł „zapiski **staruchy**” w cyklu „Co jest grane?”, jest kokieterią najczystszej wody i mój wiek kalendarzowy nie ma tu nic do rzeczy. Powiem więcej - zauważyłam, że od kiedy jeżdżę na Nordcony, za każdym razem ubywa mi około czterech lat; jestem zatem obecnie o szesnaście lat młodsza niż w Nadolu na Gwieździe Śmierci (jak tak dalej pójdzie, będę musiała zmienić podtytuł na „zapiski małałaty” - sic!).



## MARCHOŁTOWE DUMKI JACKA INGLOTA

\*\*\*

Zaprawdę powiadam Wam, Bracia moi, każdy wydawca wart jest pala albo co najmniej darcia pasów. Niemniej i pośród tych wrogów rodzaju pisarskiego zdarzają się osobnicy doświadczający czasem doznań zgoła tragicznych. Oto swego czasu zjawił się na Nordconie niejaki R.S., kiedyś fan, a potem przedsiębiorca ze Śląska, z pomysłem, coby coś wydawać. Zaproponował mnie i paru innym obecnym na konwencie tfu-twórcom, cobyśmy dali mu bez kasy opowiadań na trzy numery, a wtedy za czwarty zacznie płacić. Tak mnie tą propozycją ubawił, że wskazałem mu Pilipiuka Andrzeja, jako autora młodego, płodnego i niewymagającego. Pilipiuk przysiadł na piętach przed spoczywającym na krześle R.S., dość zgnębionym brakiem entuzjazmu do jego pomysłu, spojrział mu głęboko w oczy i wyrecytował z namaszcczeniem: „Najpierw mi pan zapłaci 3 tysiące zaliczki...”

R.S. dygnął gwałtownie, jakby go ktoś potraktował prądem, i na jego obliczu pokazała się niepokojąca bledość, a młody i niewymagający autor kontynuował niezmaconym tonem: „Po dwóch tygodniach przynoszę panu 136 stron tekstu z sensem, a pan płaci mi kolejne 3 tysiące...”. W tym momencie R.S. złapał się z jękiem za serce, a ja oddaliłem się pospiesznie, nie chcąc oglądać dalszego ciągu tej okrutnej kaźni.

W końcu dałem R.S. jakieś swoje opowiadania, traktując rzecz całą jako rodzaj happeningu. Ale mu było mało – gdzieś tak w okolicach szóstego numeru wspomnianego periodyku zjawił się we Wrocławiu i na spotkaniu ze mną i z A.Z. (znany wrocławskim autorem) domagał się dalszych niepłatnych tekstów, biadłając na małą sprzedaż i granicę opłacalności. Wtedy padłem na genialną ideę – wszak są różne formy płatności (a miał ci on pomoc redakcyjną – niezłe nogi, niezgorszy tyłek, na dodatek ruda!). Zaproponowałem prosty układ: 24 godziny z pomocą w zamian za 24 strony tekstu z sensem (A.Z. po trzech sekundach namysłu oświadczył, że też w to wchodzi, na identycznych warunkach). Prawdziwa okazja, strona tekstu za godzinę z pomocą, tanizna!

Nie zgodził się, skubany. I tak oto, Bracia moi, przez głupią zazdrość zostaliście pozbawieni dwóch niewątpliwie świetnych opowiadań fantastycznych. I czyż nie mam racji z tym palem i darcim pasów?

### GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR

# 152

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

E-MAIL: gkf @ gkf.3miasto.pl

STRONA: www.gkf.3miasto.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski,

Grzegorz Szczepaniak, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: Heidi Koch (23), Christel Scheja (3), Piotr Terszel (19)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 10201853-237451-270-1

*Nakład 400*

*WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*

**Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji**